

Wojciech Kuczok

Nasza patronka między różami

Gdyby pan mógł głośno i wyraźnie, ja też nie słyszę za dobrze. Proszę jeszcze raz powtórzyć; najlepiej, żebyś widziała pana usta. Dobrze, tak właśnie jest dobrze. Ach, pyta pan o jego słuch. To ładnie z pana strony. On bardzo nie lubi, kiedy się go od razu pyta o matkę.

On mówi, że to nie od urodzenia. Że się od dziecka jakoś zawsze bał hałasów – czy to ciężarówek przejeżdżających, czy w mieście jakichś tam robót drogowych, nie mówiąc o burzy czy strzałach; zawsze zatykał uszy i płakał. To znaczy właśnie: nie dość, że miał słuch, to nawet wrażliwy bardzo, i chodził do ogniska muzycznego, już w przedszkolu; pamięta, jak na pierwszej lekcji pani mu coś tam o Esiu i Cesium, bajeczki o nutkach, a on się wiercił na stołku i wytrzymać nie mógł, i w końcu przerwał jej, i zaczął grać, oczywiście nie od razu żadne tam sonaty, takie brzdąkanie dziecięce, ale to już była muzyka, improwizowana, ale wystarczyło; nie było już bajek ani ogniska, tylko szkoła muzyczna od razu i całe stado profesorskie skupione za nim, siedzącym przy olbrzymim instrumencie; stado w napięciu oczekujące, „No, zagraj”, więc znowu brzdąkał, chociaż bał się tych ludzi obcych, ale samo przebieranie palcami po klawiszach sprawiało mu przyjemność. Nie skupiał się na tym, co gra, nie słuchał, tylko bawił się palcami, przerywał, kiedy mu się znudziło, choć stado profesorskie było niepocieszone, „dlaczego tak w środku?”. No i zawsze cichutko; mówi, że czuł, jakby bez jakiegoś tłumika się urodził, że wszystkie dźwięki do niego docierały przesycone do bólu (miał pan kiedyś wyciągane czopy woskowe, tak, no widzi pan, to wie pan, jak to jest zaraz po usunięciu, te wszystkie hałasy), taki dźwiękowstręt, on miał tak zawsze i trudno mu było to ukryć, no a dzieciaki bywają wredne, gdyby tylko wyczuły, co się święci, zaczęłyby go prześladować.

Najgorzej, że mieszkali w takiej fatalnej dzielnicy; naprzeciw same robotnicze rodziny, wielki mrówkowiec z jednej strony ulicy i pas willi po drugiej, niefortunny układ; pan może sobie wyobrazić, jak te dzieci się nienawidziły, tylko że te robotnicze mnożą się znacznie szybciej, więc w razie podwórkowych potyczek siły były nierówne, każdy z tych obdartusów miał jakiegoś brata, kuzyna albo po prostu starszego kolegę; wystarczyło coś odburknąć, wyrazić dezaprobatę, choćby machnięciem ręki, nadepnąć na odcisk – zaraz słyszało się, „ijjeee, mój bracie cię zgnoi, lecę po niego”, i po takiej zapowiedzi nie było ratunku ani ucieczki, najwyższe odroczenie; kiedyś przecież trzeba było wyjść na ulicę, w końcu zawsze gdzieś czekali, pod wodzą braciaka albo kuzynka, nie wiedzieć czemu tak zdrabnianych (mówi, że ich ciosy nie były zdrobniałe). Nie pamiętam już wszystkich tych makabrycznych pomysłów; wie pan, im się

nudziło: tak po prostu przypierdolić mu albo przywitać i pożegnać kopniakiem – to było zbyt banalne, parę razy oberwał, to się otrzepał, wstał i szedł dalej swoją drogą, byle do skrzyżowania, byle się znaleźć za rogiem i uwolnić łzy; widzieli, że znosi to łatwo, więc wymyślali inne pułapki (wychodził z domu właściwie tylko do szkoły i na muzykę, mieli to jak w zegarku).

Mówi, że go denerwuje, jak się pan wierci. Cierpliwości; trzeba umieć słuchać niemych.

Rodzice nie mogli go odprowadzać: ojciec bez przerwy jeździł w interesach, a matka miała taką alergię, że od kwietnia do pierwszych śniegów nie wychodziła z domu. W jej pokoju też się nigdy nie otwierało okien w okresach pyleń, a kwiaty kochała nade wszystko, więc miała w mieszkaniu doniczkowy busz; ogrodu (mówi, że mieli najpiękniejszy ogród w mieście) sam doglądał, ona stała za szybą i wydawała polecenia przez taką śmieszoną krótkofalówkę (mówi, że teraz się takie daje dzieciom pod choinkę); dzięki niemu mogła ten swój dobytek roślinny pielęgnować; a późną jesienią, kiedy już tylko kikuty sterczące w wyczekiwaniu na śnieg zostawały, kiedy już chwytaly przymrozki, ona wychodziła w czapce i grubym płaszczu, wyjmowała składany stolik z szopy, siadała przy nim i wzdychała, rozkładała sobie gazety na stoliku i czytała; kiedy się kończył sezon ogródkowych spędów rodzinnych przy kielbaskach, za płotami, u sąsiadów; kiedy już nawet znikły jesienne pszczoły pijane do nieprzytomności od fermentujących gruszek gnijących w trawie; kiedy już się dokonał ptasi exodus – jego matka rozpoczynała swój sezon. Przynosił jej gorącą herbatę – jak latem znosili z ojcem lodowate soki – i parasol, który ich chronił przed wściekłym sierpniowym słońcem, matkę zasłaniał już tylko przed zacinającym gradem, bo klasyczny deszcz też już o tej porze należał do rzadkości. Mówi, że matka była przeciwieństwem wszystkich ssaków zimujących; wychodziła z nory wtedy, kiedy niedźwiedzie idą spać, a wiosną, kiedy się budzą, musiała się chować.

Śmieje się, widzi pan, Boże, jak on się rzadko śmieje...

Mówi, że wynajęli opiekunkę, żeby go odprowadzała, ale po pierwsze ta hołota i tak nic by sobie nie robiła z tego typu eskorty – bo co to ma być za obrońca, jakaś dziewczyna; w dodatku okazało się, że ona jakąś tam komitwę już wcześniej miała z tymi blokowymi. Zanim się zorientował, zdążyła przygotować swoim koleżkom grunt pod najcelniejszy atak; bo on się nieopatrznie wygadał, w końcu nie mógł wiedzieć, co za jedna, w końcu dorosła dziewczyna, no i oficjalnie po jego stronie. Powiedział, jak go męczą; powiedział, że to wszystko jest do zniesienia, bo tak naprawdę tylko hałas, tylko ta przeklęta nadwrażliwość na dźwięki jest niebezpieczna i, och, gdyby się o tym dowiedzieli, to go mają. Może nie była złośliwa, po prostu bezgranicznie głupia; któryś z tych starszych owinął ją wokół palca, zakochała się, co przy tej głupocie dało fatalny efekt – mówiła temu bęcwałowi wszystko, spowiadała się nawet ze snów, a to był idiota jeden z cięższych w okolicy, tyle że osiłek, więc miał pod sobą jakąś kohortę szalikowców; w dniu meczu nawet nie próbowała się do niego zbliżyć, od rana zdzierał gardło

pod mordownikami „mojaaa jedyna miłooooość to naaasz kaees”, potem miał kłopoty z wejściem na stadion, bo mimo poważania wśród ochrony klubowej, którą tworzyli jego byli lub przyszli podopieczni, był zbyt pijany, żeby przejść przez kołowrotek o własnych siłach, a to już widzieli policjanci – mendy, czy jak ich tam nazywali, mniejsza o to; ona w te dni musiała odczekać swoje, ale raz uczynił gest, och, tym ją już chyba zniewolił do deski grobowej, pozwolił jej wnieść pod bluzką petardy, bo dziewczyn nie obszukują, mogła z nim wejść na mecz, to już brzmiało jak oświadczyzny, mogła stać przy nim w młynie i słuchać, jak wrzeszczy, jak „daje solo”, a za nim cały sektor powtarza jego słowa, słowa pieśni, och, jaka była dumna, musiała mieć całe mrowisko w majtkach, kobieta wodza (mówi, że zna cały ten romansik tak dobrze, bo mu opowiadała, odprowadzając dzieciaka na muzykę chwaliła się, bo nie miała innych słuchaczy; mówi, że nie skojarzył, o kogo chodzi, wzruszyła go ta jej szczerłość, więc się odwzajemnił, powiedział o uszach, no i parę dni później go dopadli).

Ten bydlak czekał na nią, oczywiście, wstawiony; spieszyła się, zaczęła tłumaczyć, że idzie na muzykę z dzieciakiem, że teraz nie może, bo ją wyleją, zaśmiał się pijacko i powiedział, żeby się nie martwiła, że bachorem się zajmą młodziany, no i się nim zajęli; wyleźli zza jego pleców, cała blokowa śmietanka młodego pokolenia (mówi, że pierwszy raz mu się wtedy zdarzyło, że ze strachu nie mógł się ruszyć, gdyby nie to, być może zdążyłby uciec; wie pan, całkowity paraliż – nagle skojarzenie, ona, on, oni więc muszą wiedzieć, więc to już koniec – po prostu nie mógł się ruszyć), zaciągnęli go do bramy i zaczęli mu ryczeć do uszu, bez żadnych ceregieli, nawet bez złośliwych zapowiedzi, musiało im być pilno do nowej tortury, tak niecodziennej, ryczeli jeden po drugim, zmęczeni zmieniali się z innymi dając odpocząć strunom głosowym, to był gwałt zbiorowy na jego słuchu, ale słyszał tylko pierwszych dwóch, na początku, wtedy poczuł, jakby mu włożyli w głowę laskę dynamitu i zdetonowali (mówi, że nie będzie więcej opisywał tego bólu, bo mógłby go zrozumieć tylko szaleniectwo), w każdym razie potem już tylko widział, jak otwierają ryje i ryczą dalej, przez chwilę myślał, że to ich jakiś kolejny żart diabelski, że zaczęli tak na niby wrzeszczeć, bezgłośnie, wyglądali tak dziwnie, że zaczął się śmiać, te ich poczerwieniałe z wysiłku pyski przy jego policzkach, po dwóch naraz, jeden na jedno ucho, i nic nie słysząc, nawet się nie szarpał, tylko śmiał, ale w końcu zrozumiał, co się stało. Mówi, że kiedy go puścili, bał się tylko jednego – bał się odezwać, bo wiedział, że nic nie usłyszy, nie usłyszy własnego głosu; przez całą drogę do domu odważył się tylko chrząkać, tak na próbę, chrząkał, żeby usłyszeć, ale nic; potem łzy, dom, matka, zapłakany rzucił się jej w ramiona i zdobył się na słowo, powiedział „mamo”, ale nie usłyszał, powtarzał więc coraz głośniejsze i głośniejsze krzyki do niej, nic; próbowała go uspokoić, ale dopiero kiedy wezwała pogotowie i dostał dożylnie relanium, zamilkł; na zawsze zamilkł, bo i na zawsze stracił słuch. Mówi, że przestał mówić, bo nie mógł znieść tej bezgłośności; przestał rozpoznawać, czy już mówi, czy jeszcze myśli, a jeśli tak, czy czasem nie myśli na głos; dlatego tylko rękoma, na migi, wie pan,

tylko tak może zachować kontrolę.

Akurat do grania słuch mu nie był potrzebny. Bo słyszał wszystko w środku. Mówi, że właściwie nawet lepiej mu się grało po utracie słuchu, bo dźwięki, jakie rzeczywiście się dobywały z instrumentu, już mu nie przeszkadzały, nie rozpraszały tego skupienia; zawsze i tak słyszał to, co chciał, jego muzyka nie miała związku z tą, która docierała do cudzych uszu.

Do grania słuchu nie potrzebował, ale w życiu to katastrofa, utrata zmysłu.

Rodzice nie mogli się pogodzić, szukali lekarzy, bioobmacywaczy, cudotwórców; ojciec wydzwaniał, dowiadywał się, woził go, płacąc hochsztaplerom jakieś kosmiczne sumy za samą nadzieję. Ale się skończyło. Słyszenie. Raz na zawsze.

Nauczył się czytać z ruchu warg; mówi, że w zasadzie nic się dla niego nie zmieniło na gorsze, teraz był już całkiem bezpieczny – największy wróg: hałas, całe to wysypisko śmieci fonicznych, z którymi się dotąd zmagał, zostało definitywnie usunięte. Nawet nie musiał zmieniać szkoły, po prostu siedział bliżej biurka, a nauczycielki specjalnie dla niego pracowały nad dykcją, no i nie wołały go do odpowiedzi, wyłącznie pisemnie, a wie pan, że pisemnie zawsze coś tam można ściągnąć. Takie trochę się zaczęło rozpieszczanie przez tych nauczycieli, w gabinecie niezmiennie musiał rozbrzmiewać refren „tak, tak, to straszna tragedia, takie zdolne dziecko, teraz trzeba bardzo ostrożnie”, faworyzowali go, ale bez przesady, w sam raz, żeby nie podpadł klasie.

Gówniarzeria z drugiej strony ulicy tymczasem jakby przerażona skalą swojej zbrodni zostawiła go w spokoju; miał ich w rękę, dopóki nie doniósł ojcu, znaczy policji, znaczy poprawczakowi i tak dalej.

Oj, ja mu tego nawet nie powtórzę, co pan powiedział; co to ma znaczyć: „żeby jednak przeszedł do rzeczy, bo panu się ciutkę spieszy”? Co to w ogóle za słów pan używa jakichś takich! Czy pan sobie nie zdaje sprawy, że to wszystko jest ważne, że to wszystko się wiąże? Czy pan sobie nie zdaje sprawy, jak trudno go było nakłonić na to spotkanie? On mówi, że to on mówi i żeby go nie poganiać ani nie nadzorować wątków.

On to powiedział trochę nieładniej.

Matka się złamała; tak mówi: złamała się po cichu, bez trzasku, jak łodyżka. Z żalu, z bezradności, a może po prostu przyszła już pora na depresję. Ojciec mówił, że w tej rodzinie każdy depresję nosi w sobie śpiącą jak kangurzątko, ale ono się w końcu budzi i wystawia pyszczek, a jak już raz zobaczy świat, zasypia coraz rzadziej, chce się wydostać, wrywa, aż w końcu uwalnia się na dobre – i tak właśnie się stało z matką. Przestała podlewać kwiaty. Było to dla nich tak niepojęte, że zauważyli dopiero, kiedy zaczęły usychać. Pytali ją: „Popatrz, co się dzieje z roślinami; czy ty je na pewno podlewasz?”, ale nie odpowiadała, mamrotała żałośnie jakieś sobie tylko znane mantry, ignorowała ich, wciąż powtarzając gest machnięcia ręki, co mogło równie dobrze oznaczać, żeby jej dali spokój, jak i to, że już i tak jest „po ptakach”, tak

ogólnie, w związku ze wszystkim. Zaczęli podlewać za nią, tak jak w ogrodzie, ale nie pomogło. Nie chciały pić, jakby rozpoznawały obcą rękę – nie tę, która je karmiła przez całe życie; zdychały więc z głodu, wierne swej pani jak psy, które gardzą cudzą miską. A z matką było coraz gorzej. Przyszedł lekarz, przepisał pigułki, nawet zażywała, ale była tak roztargniona, że zapomniała, czy już wzięła, czy nie, i zawsze brała jeszcze na wszelki wypadek, a jako że były to między innymi pigułki uspokajające, kiedy zażyła podwójną dawkę, była śpiąca i roztargniona jeszcze bardziej, więc zapomniała i brała znowu, i tak snuła się lunatycznie i zupełnie już stracili z nią kontakt. Kiedy pozostały przy życiu same kaktusy, wynieśli resztę kikutków, zeschłych badyli, całe to domowe ściernisko; matka stała się więc głównym rodzinnym obiektem zainteresowania i opieki.

Mówi, że cała jego głuchota zeszła jako mniejsza uciążliwość na drugi plan, z czasem wręcz przestała być zauważana, z przypadłości stała się cechą, wyróżniającą, lecz nie zubożającą. Cieszył się, bo nie musiał słuchać niczego wbrew woli; ale słyszał i tak: myśli, dźwięki odtwarzane przez pamięć, no i te przykre fantomy hałasów, piski w mózgu uciążliwe tym bardziej, że nie istniejące, a przybierające na sile im bardziej chciał się ich pozbyć. Bo, wie pan, nie ma ciszy absolutnej. Mówi, że coś o tym wie.

Mówi, że jeśli pan mu jeszcze raz przerwie, to będziemy musieli pana odprowadzić do drzwi. I że i tak właśnie zamierzał mówić o matce, bez pana chrząknięć i spojrzeń na zegarek.

Próbowali na różne sposoby. Ojciec był już w domu prawie bez przerwy, jak nigdy dotąd. Pilnowali jej, wydzielali tabletki, przemawiali jak do dziecka. Im bliżej wieczoru, tym było lepiej, nieco się ożywiała, wdawała się nawet w rozmowy z ojcem, co prawda, najczęściej zupełnie nedorzeczne (rozpoznawała w nim zupełnie obcych ludzi, i to w ciągu jednej rozmowy, tak, że wydawało jej się, że gada z kilkoma ludźmi naraz, jakżeż on się musiał wysilać, żeby taką rozmowę podtrzymać, żeby mu się nie pomyliło, kiedy jest panem Stasiem – dozorcą w matki kamienicy przed czterdziestu laty, kiedy doktorem, a kiedy na przykład samym sobą z czasów ich wstępnej fazy narzeczeństwa). Spać się kładła już najbardziej zbliżona do świadomości, raz nawet zauważyła przed zaśnięciem. „Och! A gdzie moje kwiaty?“, ale nie zdążyła zareagować, bo nocna dawka leków była najsilniejsza. Żeby odgonić koszmary, dawali jej środki nasenne, więc zapadała w ten syntetyczny sen jak w narkozę. I rano znowu niczego nie pamiętała, wszystko trzeba było zaczynać od nowa. Miała pamięć jak jętkę, nigdy się nie zdarzyło, żeby przetrwała więcej niż dzień. Pamiętka jednodniówka; (znowu się śmieje) cha, niech pan to zapisze.

Mówi, że kiedy zabrakło im pomysłów, kupili jej psa. Sznaucera miniaturkę, w sam raz do pokoju. Zawsze chciała mieć. W krytycznych chwilach ludzie zaczynają spełniać marzenia swoich bliskich, tyle że wtedy już są to spełnienia niewczesne; krytyczne chwile to te, kiedy się już marzeń nie ma, i nawet zapomniało się, jakie one były. Nawet, gdyby matka zdołała

zauważać tę drobinę życia, o którą powiększyła się jej przygnębialnia, fatum czuwało nad tym, by efekt tak czy inaczej przybrał postać katastrofy. Pies bowiem nie przejawiał typowej dla wieku szczenięcego witalności, snuł się zniechęcony po mieszkaniu, z rzadka zaglądając do miski z żarciem, obwąchując ją godzinami, zanim zdołał coś uszczknąć. Był chudy i nie szczekał. Nie reagował też na żadne imię; od początku zdawał się sobowtórem swej pani, którą zresztą ignorował z wzajemnością. W końcu zaczął chodzić tyłem do przodu, tego już było za dużo, nie szukali nawet weterynarza – psychiatry, oddali zwierzę do azylu (podobno zdechł po kilku tygodniach strajku głodowego). Zrozumieli, że coś musi być nie tak z miejscem.

Że może matka gdzie indziej odżyje, jeśli ją ostrożnie przemieścić, nie narażając na pyłki. Bo bali się, że do jesieni może nie dotrzeć. A z całą pewnością sami by nie dotrwali.

Zorganizowali karetkę, butlę z tlenem, wszystkie medyczne środki gwarantujące bezpieczny transport; znaleźli pokój z odpowiednią wentylacją w sanatorium, odizolowany od zewnątrz, przetestowany przez najlepszych fachowców na brak alergenów; opłacili z góry kwartał kuracji.

Kiedy nadszedł dzień wyprowadzki, matka znikła. Nie mogli jej znaleźć w mieszkaniu. Ojciec wpadł w furję, bo wiedział, że matka na zewnątrz nie przeżyje dwóch godzin. Zaczął przetrząsać dom, potem ogród, na próżno. Dopiero wieczorem, kiedy już zasiedli w milczeniu i rezygnacji, kiedy wymownie spojrzeli po sobie, jak gdyby nigdy nic zjawiała się przy stole. I zanim chórem niemalże zakrzyknęli „Gdzie byłaś?!” znikła ponownie, tylko już przy nich, stopniowo blaknąc, wytracając kontury, przezroczyściejąc. „Nie, no to już jest zupełnie nie do zniesienia” – powiedział ojciec i wyciągnął rękę w jej stronę, tam gdzie niby była, i macał powietrze, rzeźbiąc jej kształt.

Lekarze byli bezsilni; nie znali pigułek na widzialność, a w tym stanie już donikąd jej przewieźć nie było można. Zjawiała się od tej pory coraz rzadziej, na krótko, czasem na kilka minut – przy stole, przy oknie, w kuchni. Raz zastał ją parzącą herbatę, ale kiedy go zobaczyła, przestraszyła się i znikła; mówi, że miał potem wyrzuty sumienia, mogła się chociaż napić. Bóg jeden wie, czym się wtedy żywiła, nigdy jej nie zobaczyli jedzącej; może tam, gdzie przebywała, „kiedy jej nie było”, głód nie istniał; może wszystkie procesy fizjologiczne, wszystkie ludzkie potrzeby ulegały wyhamowaniu – bo, owszem, wyglądała coraz gorzej w tych krótkich okresach ujawnień, ale wciąż przecież żyła. Nie pozwalała się dotknąć; w ogóle zauważyli, że niknie w oczach, kiedy tylko się ją przyłapie na tym, że jest. Przestali więc szukać, oczekiwać objawień, dali jej spokój, żeby sobie mogła pobyć do woli w samotności.

Kiedy więc właściwie matka odeszła – nie w zapomnienie, a właśnie w pamięć; kiedy krzątając się po domu udawali, że o niej nie myślą, licząc na to, że zwiedziona tą pozorną obojętnością zacznie się częściej pokazywać; kiedy myśleli, że jest gdzieś tam między nimi, radio doniosło o cudzie. Radio jako pierwsze, bo to było specjalne radio od cudów, była też telewizja o podobnym charakterze, ale nie dostała koncesji, dzięki Bogu (zapewne). Po takiej

pierwszej wzmiance nikt się zbytnio nie przejmował, oczywiście nikt spoza tak zwanej „rodziny” tego specjalnego radia – co jakiś czas księża ogłaszali cuda w eterze, mniej więcej wtedy, kiedy poprzedni cud przestał już kogokolwiek obchodzić, kiedy na przykład boski wizerunek na zmrożonej szybie po prostu stopniał.

Ojciec powiedział, że opis się zgadza, że trzeba natychmiast jechać tam, gdzie „dziewczynka i chłopczyk zobaczyli wracając z lekcji religii”, bo przecież ona się uduśi, teraz wszystko w największym rozkwicie, a to właśnie „przechodząc obok ogrodu botanicznego zajrzeli do środka, a tam”, jechać, jechać, może jeszcze nie jest za późno, może uda się odratować, „Maryja, nasza patronka, między różami ukazała się maluczkiem”. Pojechali, a tam wszystko już zablokowane, tłumy i kolejki, bo jednak na skalę regionu to była sensacja, wszyscy ci, tego radia słuchający na co dzień, przybyli jak zwykle, żeby zobaczyć Miejsce, więc ojciec zaraz wpadł na pomysł: „tu jest głuchy; głuchy chłopiec, przepuście”.

Natychmiast w szemraniach się rozstąpili, zrobili taki żywy korytarz, „będzie cud, będzie cud”, mówili i przepuszczali patrząc z uznaniem, a nawet zazdrością, że sami nie mogą dać się uzdrowić, że nie są ślepi, chromi i tak dalej, choć może i dobrze, niech chłopiec pójdzie na próbę, a potem już będą przyprowadzać, kogo trzeba. Tam wśród grządek już oczywiście stał ołtarzyk i wieńce, świece, dewocjonaalia, więc nie mieli z ojcem złudzeń, byli pewni, że matka się nie pokaże już zupełnie, w każdym razie nie tej zbieraninie. Szukali śladów; nie mogła odejść daleko, ale ten tłum się zaczął niecierpliwic, „no módlcie się, módlcie, niech dziecko uklęknie w Miejscu”, już nawet ich poszarpywali, to stawało się niebezpieczne. I wtedy ojciec zobaczył w ziemi ślad jej sandała, „o, tędy szła”, pokazał, a ludzie wszyscy rzucili się w przepychankach, żeby obejrzeć Ślad Stopy, i od razu zaczęli wykrzykiwać co przydatniejsze pomysły, że może by zacementować, wystawić w bazylice Odcisk Boży; widzi pan, znowu się śmieje. Mówi, że nie rozumie, czemu oni zawsze adorują miejsce, w którym im się objawia Matka Boska, jakby nie mogła sobie po prostu spacerować tu i ówdzie; zawsze w tym jednym miejscu musi się pokazać koniecznie po raz drugi, przecież to nielogiczne; ale się roześmiał, o Jesku.

Ale wtedy mu nie było do śmiechu, bo sobie zdał sprawę, że to ostatnia wędrówka matki, niezależnie od tego, czy by się udało odtworzyć jej trasę. Chodzili z ojcem po alpinariach, szklarniach, między grządkami i w arboretum, zajrzeli pod każdy liść i czuli, że wszędzie tam była, że zwiedziła tę dumę miasta dokładnie, jakby ją chciała porównać z własnym dziełem, dogładanym z okna przez całe życie; czuli też jednak, że wszędzie tam już była, zadziwieni tą siłą i determinacją, która była mocniejsza niż alergja, bo pozwoliła jej zobaczyć tak wiele, zanim oddech nie stał się zbyt płytki, by mogła się w nim swobodnie zanurzyć.

Nie znaleźli matki tego dnia; wrócili zmordowani do domu i dopiero rano ojciec, otwierając w jej pokoju okno po raz pierwszy od kilkudziesięciu lipców, spojrzął na ogród przed domem i wymówił jej imię. Siedziała w swoim składanym fotelu, pod ogrodowym parasolem, jak w te

wszystkie zimy i jesienie, wreszcie znów widzialna, namacalna, prawdziwa i spokojna, już na zawsze.

Mówi, że już skończył. Matka leży pod czereśnią, sam pan znajdzie mogiłę. Mówi, że dużo więcej by opowiedział, ale to już nie panu. Może pan przysłać kogoś mniej nerwowego. Do widzenia.

(Proszę zrozumieć, on chce sobie teraz trochę pograć).